

WOJCIECH LIGĘZA

Wspominać z wdzięcznością

Wspominać Wisławę Szymborską można tylko z wdzięcznością: za obcowanie z kimś niezwykłym, za dyskretnie przekazywaną mądrość, obwarowaną wątpliwościami i autoironią. Poetka potrafiła zwykłą rozmowę przemienić w niezwykle przeżycie. Zapamiętaliśmy, choć zapewne każdy inaczej, splot przenikliwej obserwacji oraz gry wyobraźni, krytycznego myślenia i pozornie naiwnego zachwytu, poważnego argumentowania i finezyjnego żartu. Roztrząsane przykłady z życia, analizowane przygody w tramwaju czy na targu, odsłaniały dziwność istnienia, zaskakujące zderzenia sytuacji, koincydencje o głębszym znaczeniu. Twórczością mówioną Szymborskiej, tak jak pisaną, rządziły paradoks, zaskoczenie, nieoczywistość. Jej poczucie humoru nie miało sobie równych. Wyliczenie cech osobowych, które tak przyciągały rozmówców, ale też trzymały ich w szachu, gdyż niezgoda na wspólne ujęcia tematów była warunkiem wstępnym, mogłoby się rozwijać w wielu kierunkach. Jedno jest pewne, iż nie sposób wszystkiego, co zawdzięczamy Wisławie Szymborskiej, czyli wieloletnich spotkań i lektur, inspiracji i dociekliwych pytań, ołśnień i ocen, zamknąć w kilku określeniach podyktowanych przez żałobne okoliczności.

Wisława Szymborska była człowiekiem kameralnych przestrzeni, wiernych przyjaźni, dobrze strzeżonej prywatności. Nie znosiła medialnego wrzasku, światowej pozy oraz targowiska próżności, gdzie każdy z uprawiających grę ambicji, musi mieć wyznaczoną rangę. W niewielkim gronie osób bliskich czuła się dobrze, gdyż pakt towarzyski został dawno zawarty, a zatem nie groziły elementarne niezrozumienia czy drastyczne nieporozumienia. Nie znaczy to wcale, że Noblistka chciała sterować wymianą zdań, przeciwnie: miała fenomenalny talent słuchania, który, bywało, uskrzydlał mówiącego. Jej ciekawość innego światoodczucia, nowej wykładni zjawisk, nawet drobinowych faktów, które pełniły rolę małych odkryć, nigdy nie słabła. Poetka bardziej ceniła dobrze zadane pytania, które należałoby roztrząsać, różnicując zjawiska i dodając wątpliwości, niż klarowne odpowiedzi, upraszczające, jednoznaczne.

Być może nadużywamy słowa przyjaźń. Czy zaproszenia, rozmowy, dedykacje na książkach, uderzające absurdalnym humorem, świąteczne kartki-kolaże, szczodrze darowane, można uznać za niezbite dowody przyjaźni, wcale nie jestem pewien. Obdarowany, chciałby sądzić, iż to jego właśnie poetka wyróżniała szczególnymi

względami, ale przecież wykładnia wciąż się komplikuje – i to z dwóch względów. Po pierwsze przyjaźń, tak jak „miłość prawdziwa” w wierszach Szymborskiej, to fenomen rzadki w skali całego kosmosu, niemal niemożliwy, po wtóre – opisywana tu relacja miała swe stopnie i miejsca nie-do-określenia, Noblistka unikała bowiem manifestowania uczuć, czyli owego hałaśliwego deklarowania, które tak lubi świat współczesny. W serdecznej więzi znajdowało się zatem miejsce na dystans i osobność. Z przekąsem pisała o rytualnych „aktach serdeczności”, o niesłabnącej potrzebie czułości czy też teatrze uczuć granym na co dzień, jak nieznośna komedia. Pamięć przyjaźni, jak sądzę, powinna pozostać dyskretna. Niekoniecznie więc trzeba latać do mediów i gawędzić o przyjaźni. Możliwe są inne kwalifikacje: bliski znajomy, pokrewna dusza, rezonujący rozmówca, kolega ze środowiska artystycznego, człowiek, który nie zawiedzie, nie zdradzi.

Rozmowa w cztery oczy różniła się od kilkugłosowej konwersacji. Zaproszony na kawę miał opowiadać o sobie przejrzyście, esencjonalnie, interesująco. Życzliwa zachęta, uśmiech, styl z lekka kpiący – z dodanymi kroplami powagi – sprawiały, że rozmowa nie przypominała trudnego egzaminu. Ot, niejako naturalnie wznosiła się na wyższy poziom, a zaproszony zapominał o cierpiącym *ego*, urazach, przeczuleniach. Deliberowanie o własnych i cudzych nieszczęściach nie było w dobrym guście, od razu bowiem, nawet bez słów, rysowała się granica oddzielająca dopuszczalne wyznaczenie od nadużycia. Oczywiście Wisława Szymborska zawsze była skłonna ofiarować wymierną pomoc (jak w ewangelii – w ukryciu) lub fortunną radę płynącą z doświadczenia, nie z książkowych mądrości. Do odziedziczonych, przyjętych na wiarę recept na życie podchodziła zawsze z nieufnym dystansem.

Większość ludzi lubi pochwały, natomiast Wisława Szymborska do zasłużonych przecież wyrazów podziwu podchodziła z rezerwą. Trafnie tę regułę podchwyciła Elżbieta Zechenter-Spławińska, w zapisie snu (w tomie *Czapka niewidka*) umieszczając wzmiankę o spojrzeniu Szymborskiej wyrażającym „żartobliwą naganę”. Niekiedy w zdaniach na własny temat Noblistka używała trzeciej osoby, jakby chodziło o kogoś innego. O zapamiętanej lekcji chciałbym krótko opowiedzieć. Otóż – wydelegowany przez kolegów z SPP – miałem złożyć Wisławie Szymborskiej podziękowania i w krótkiej oracji (cóż za pomysł?) niefortunnie napomknąłem o dobroci. „Ja wcale nie jestem dobra” – odparowała poetka. Jak rozumiem, była to przestroga, by nie używać formuł obiegowych, które pojedynczą osobę zamykają w klatce jakiejś cnoty. Zresztą dobroć bezwzględna i nieprzejednana, dana jest chyba tylko świętym i szaleńcom. Wszakże pamiętamy o znikomym procencie ludzi tak wyposażonych – w prywatnym rachunku z wiersza *Przyczynek do statystyki*: „Dobrych zawsze, / bo nie potrafią inaczej / – czterech, no może pięciu” (na sto).

W tle może pojawić się sytuacja z Gombrowicza, kiedy „dobra cioteczka”, obdarowująca cukierkami wszystkich w zasięgu ręki, zdrabniająca ludzi z otoczenia, tak by stawali się na powrót dziećmi, pozostaje samotnie ze swoją dobrocią, czyli z niczym, bo przecież dobroć wyizolowana nie może określać ludzkiej osobowości, wciąż się tworzącej. Dobroć to stan niezmienny, bierny. Człowiek dobry, działający odruchowo, bez kontroli umysłu, kryteriów i zastrzeżeń, jest tylko radiatorem uczuć, a ciepło, którym promieniuje, rozprasza się i ginie w zimnym świecie. Tak pojmowana dobroć koliduje z wolnością osoby i najlepiej, jak uczy poetka, unikać kłopotliwych pojęć.

Rychło rozmowa zmieniała tor. Utwory literackie, spektakle i filmy stawały się jej przedmiotem. Fascynacje lekturowe często oddawały sprawiedliwość utworom nie dość docenionym – oczywiście poza wyrażanym w słowie potocznym kultem wielkich pisarzy. Nad stosowanymi kryteriami warto by się osobno zastanowić, lecz tutaj wskazać chciałbym – pośpiesznie i prowizorycznie – kilka czynników, które wzajemnie się dopełniają. Otóż w dobrej książce ciekawość dla realiów wielorakiego świata winna spotykać się z precyzją w zakresie wyrażania, mądrość wyklucza tam przemądrzałą wszechwiedzę i stowarzysza się z wątpieniem, a fantazja jest wtedy znakomita, kiedy zostanie przepuszczona przez filtr racjonalności. Każda z tych lektur – według Szymborskiej-czytelniczki – winna odsłaniać niepowtarzalne *signum* artysty słowa i poprzez szczegół ujawniać jakąś prawdę, która daje do myślenia, przekracza nasz zespół przyzwyczajeń i wyobrażeń. Można też mówić o dociekaniu tajemnic warsztatu. Każdy prawdziwy pisarz nie powiela wzorów, lecz oferuje wynalazki. Weźmy zapisy w *Lekturach nadobowiązkowych* o „niepokojących zmianach tonacji uczuciowych” u Horacego, o koncepcie poetyckim i śmiechu Laforgue’a wymierzonym w siły, które nas zniszczą, o dźwiękowej wrażliwości Czechowicza (jego dzwony kojarzą się z wyfruwającym aniołem).

Kilkuminutowe seminaria były dla rozmówców bezcenne, zachęcały bowiem do odnowienia kontaktu ze spektaklem czy filmem, do rewizji tego, co zdołaliśmy pomyśleć. Na przykład poetka, głosząc pochwałę inscenizacji *Opisu obyczajów* Mikołaja Grabowskiego, delektowała się cudownym rozpasaniem języka czasów saskich, analizowała rolę przesady w reakcjach, zachowaniach, rozmowach, podkreślała znaczenie monstrialności wyobraźni. Z wielką przenikliwością Wisława Szymborska wypowiadała się również o filmie. Świadectw mówionych było chyba więcej niż pisanych. Rzecz jasna w *Lekturach nadobowiązkowych* napotkamy wzmianki o tej gałęzi sztuki, a w wierszach znaleźć można ślady bądź to „montażu filmowego”, bądź to odwołań do konkretnych dzieł. Wskażmy choćby subtelną kpinę z egzystencjalizmu na ekranie (*Film lata sześćdziesiąte*) lub apologię tragicznych komików kina nie-

mego (*Komedyjki*). Szyborska mówiła chętnie o popularnych serialach i perwersyjnej skłonności do kiczu („czy zauważyliście, że w *Dynastii* nikt niczego nie czyta?”), o westernach („dialogi sprawiają wrażenie, jakby bohaterowie Dzikiego Zachodu czytali Sartre’a”), ale szczególną uwagę poświęcała kinu artystycznemu. Zapewne przykład Federico Felliniego byłby w tym miejscu właściwy. Pamiętam uwagi Noblistki o *Amarcord* – o inicjacjach dzieciństwa, podawanych z humorem lękach i obsesjach, zjawiskowej oniryczności, rzewności przemieszanej z karykaturą, cyrku codziennym żarłocznym życia.

O malarstwie w twórczości Szyborskiej napisano już niejedną rozprawę, zatem tę kwestię tylko wzmiankuję. Znamienne wydają się potwierdzenia wierności dla pewnych artystów, takich jak Vermeer van Delft – malarz trwania, artysta chwili, która nie mija wraz z patrzącymi. Jego opowieść o świecie wyróżnia szacunek dla detali utrwalonych zawsze z maestrią, ale też poruszająca jest obecność postaci powracających do nas z innego czasu, zastygniętych w jakiejś pochłaniającej czynności, widzialnych, lecz nieprzeniknionych. Vermeer w mieszczańskim wnętrzu zamknął cały kosmos, esencję tego, co jest – pod postacią witrażowego okna, mapy na ścianie, lutni, krzesła. I znów od szpinetu odwróci się ku nam dama „ze ślicznym półuśmiechem”. Spokojna doskonałość staje się u Szyborskiej gwarantem ładu, zwraca się przeciwko szaleństwu historii. A zatem:

Dopóki ta kobieta z Rijkmuseum
w namalowanej ciszy i skupieniu
mleko z dzbanka do miski
dzień po dniu przelewa,
nie zasługuje Świat
na koniec świata

(Vermeer)

Skale wrażliwości rozmówców wcale nie musiały się pokrywać. Wisława Szyborska polemizowała finezyjnie. Oto jej zdanie o młodym prozaiku, który odniósł sukces: „on byłby wielkim pisarzem, gdyby otrzymał dar współczucia”, oto opinia o sławnym francuskim uczonym: „czytając jego książkę, miałam wrażenie, że przez cały dzień noszę dwa wiadra pełne wody na piąte piętro”. Juliana Przybosia określiła mianem wymagającego rozmówcy i to samo można powiedzieć o niej samej. Była ciekawa wszystkiego – podróży tramwajem, która mogła mieć równą intensywność, jak wyprawa do bieguna północnego, snów, jeśli śmiałością wizji przekraczały ograniczoną jawę, odkryć, które kwestionowały naszą „niezbitą pewność”, ciekawostek o ludziach zwykłych i sławnych – pod warunkiem, że nie należały do pospolitych plotek. Szkoda bowiem życia na gadanie o niczym. Tylko głupstwo o wy-

miarach nadrealistycznych miało smak i wartość. Dowcip i rygor, lekkość i dyscyplina, barwność anegdoty i filozoficzna głębia to przeciwstawne cechy konwersacyjnego instrumentarium Wisławy Szymborskiej.

Autorkę *Lektur nadobowiązkowych* interesowały tematy naukowe. Z wielu dziedzin: językoznawstwa, historii, biologii, filozofii, archeologii, astronomii, anatomii. Z inwencją i swobodą w swych utworach wykorzystywała rozległą wiedzę, ale też zaciekawiona była tym, jak realiami nauki posługują się inni poeci. Literaturoznawca również mógł wiele skorzystać, ponieważ często w lotnym spostrzeżeniu Noblistki mieściło się rozwiązanie problemu, o którym biedny polonista musiałby napisać mozolny, mniej odkrywczy traktat. Szymborska wyśmienicie знаła się na prozie, jej wypowiedzi o sztuce narracji nie powstydziliby się wytrawny krytyk. Zresztą w poezji też są rozsięte ślady fascynacji powieściopisarstwem. Zapewne pasja lektury („czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką sobie ludzkość wymyśliła”) wiązała się z umiłowaniem rzeczywistości, która, zatrzymana w słowie, nie umyka w nic. Liczą się tyleż zmysłowo odbierane konkrety, co zawsze aktualne przesłania. *Klub Pickwicka* Dickensa znalazł się wraz z *Próbnami* Montaigne’a na półce z książkami najbardziej przez poetkę cenionymi.

W wierszach Szymborskiej znajdziemy sporo erudycyjnych odwołań do tekstów kultury i literatury. Wiele dzieł artystycznie znaczących, ale też prac z rozmaitych dziedzin, nie wyłączając popularyzacji oraz poradników praktycznych, poetka skomentowała w *Lekturach nadobowiązkowych*. Na tej podstawie można by sądzić, że jej mieszkanie pęka w szwach od nadmiaru książek. Tymczasem biblioteka Wisławy Szymborskiej istnieje w innym wymiarze – pamięci i wyobraźni. Fizyczny ciężar tomów nie wydaje się niezbędny. Poetka nie przywiązywała się do książek, miała tę siłę, by się z nimi rozstawać. Wybrany kolejny czytelnik opuszczał gościnne mieszkanie, często unosząc z sobą książki – przedmiot pożądania. Tak zatem krążenie dzieł nie ustawało, a bibliotekę tworzyła nie tyle kumulacja, co selekcja. Oczywiście ścisły prywatny kanon nie mógł zostać naruszony, ale przecież (z drugiej strony) ilość książek niezbędnych do życia nie jest tak wielka, jak nam się zwykle wydaje.

To nie całkiem prawda, że Wisława Szymborska nie rozmawiała o swoich wierszach. W wywiadach wykazywała powściągliwość, ale podczas posłuchania prywatnego można było trochę więcej uzyskać. Powiedzmy: dostać podarunek intelektualny. Co prawda, odmierzone w małych dawkach objaśnienia nie dotyczyły zagadnień generalnych, ale – na przykład – przybliżyły realia, konteksty, okoliczności. Na półserio poetka odnosiła się do recepcji krytycznej. Między innymi zapamiętałam taką kwestię: „*Wiersz ku czci* [z tomu *Sól*] to utwór-sierotka. Nikt o nim nie pisał”.

Rozmowa w kilka osób u Wisławy Szymborskiej mogłaby posłużyć jako wzór dla wszelkich debat. Niech się wstydzą braku wyczucia, szacunku dla rozmówcy, sobiepańskiego sejmikowania przedstawicieli naszych elit, dyskutujący w publikatorach. W domu poetki było inaczej: nikt z gości nie był faworyzowany, każdy – słuchany z zainteresowaniem. Żartobliwa napaść, lekka prowokacja, dowcipne sokratejskie akuszerstwo ze strony poetki pobudzały milczących do aktywności towarzyskiej. Nade wszystko jednak wspólnotę łączył żywioł zabawy. Bezinteresownej, bez krwawych ofiar. Kpina nie mogła być okrutna, karykatura – nadto przejaskrawiona, plotka – nazbyt wścibska. Przy tym autoironia odgrywała znaczącą rolę. Nasuwał się wniosek sprzeczny z duchem naszego czasu, że sztuka żartowania polega na tym, by nikogo nie ranić.

Dodajmy, że poetka była szczególnie uwrażliwiona na moralne zło. Podłość ludzka i niecne sprawy, a żyliśmy w czasach ciekawych, były źródłem wielkiego zasmucenia. Wówczas osąd był sprawiedliwy i bezkompromisowy. By nie zadowolili się uogólnieniem, sięgnijmy po kolejny przykład. Otóż w stanie wojennym seniorzy polskiej kultury – za pośrednictwem telewizji – udzielali poparcia generałowi Jaruzelskiemu. Można wątpić, czy te wystąpienia miały charakter spontaniczny, wolno też przypuszczać, że bohaterowie dość żalonych audycji pamiętali dawne traumy, nie opuszczali ich lęk, nie orientowali się dobrze w sytuacji, nie chcieli już zmiany. Chociaż nie należy też wykluczyć oportunistów i braku charakteru. Krótkie zdanie poetki wypowiedziane jakby mimochodem: „geriatria w służbie rewolucji” wydobywało rozumienie i niezgodę, groteskę sytuacji, podskórny komizm nieporozumienia.

W istocie pokoje przy ulicy Chocimskiej, a później Piastowskiej, były przeciwieństwem dworu (czy salonu), gdzie inteligencją nie posługiwano się jak sztyletem. Na dawnych i teraźniejszych dworach, by zdobyć względy królowej, mówiący stara się jadowitymi uwagami unicestwić przeciwnika. Jakże to odległe od spotkań z Wisławą Szymborską. Igraszki z wyznaczonym punktem kulminacyjnym, czyli słynną loteryjką wywodziły się z dwóch tradycji, mianowicie z dawnych zabaw i gier towarzyskich, z których wyzuł nas ordynarny telewizor oraz z odziedziczonego po surrealizmie humorystycznego działania. Jak wiadomo, artyści z tego kręgu wymyślali przedmioty absurdalnie nieprzydatne, krańcowo rozmiągające się ze swym przeznaczeniem.

Nastawiona na efekt zaskoczenia loteryjka była jakby echem tamtych pomysłowych ekstrawagancji. Uczestnik zabawy losował (przeważnie) wyrafinowaną szkaradę, ale może bardziej oczekiwał na dar istotniejszy, czyli konceptualny, związany z osobą, komentarz poetki. W ogóle humor Szymborskiej ujawniał doświadcze-

nie absurdu, eksponował dziwne osobliwości, podkreślał spotkania rzeczy sprzecznych, a wycinanki (żarty plastyczno-słowne) stawały się jakże oryginalnym przedłużeniem surrealizmu. Celebrowane były zupki w torebkach, dania od Chińczyka, butelki wina o dziwnych nazwach. Osobny parodystyczny rytuał obejmował zasiadanie do stołu, częstowanie. Przytaczano teksty tak grafomańskie, że aż genialne w swojej kategorii, ale też dla równowagi przedmiotem zabawy – tym razem w sensie oświeceniowym – stawały się dzieła pożywne i pożyteczne. Pewnego wieczoru towarzystwo z wielkim zaciekawieniem „bawiło się” *Skrzydlatymi słowami* Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowskiego, odkrywając, iż w wielu przypadkach, nie zdajemy sobie do końca sprawy, skąd pochodzą cytaty, którymi z taką łatwością się posługujemy. Przywrócenie autora czy dopowiedzenie kontekstu witane było z bezinteresowną radością. Nie sposób nie pomyśleć o teatralności tych towarzyskich zdarzeń. Wisława Szymborska znakomicie reżyserowała improwizowane sztuki w swym domowym teatrze.

Nie chciałbym przekazać obrazu jednostronnego. Oczywiście śmiech zyskiwał kontrpunkt w postaci poważnych refleksji, po smakowitej opowieści następował moment zadumania, zza zasłony papierosowego dymu wyłaniała się raz twarz życzliwie uśmiechnięta, innym razem, znacznie rzadziej, bo zasada dzielności na to nie pozwalała, twarz zamyślona, smutna. Niekiedy poetka nie mogła ukryć wyraźnych emocji, ale to były chwile szczególne. Po wycięciu – na prośbę mieszkańców – pięknego bielana (topoli nadwiślańskiej), który rósł przed blokiem przy ul. Chocimskiej, poetka powiedziała z goryczą taką, jakby nagle rozczarowała się do całego gatunku ludzkiego: „drzewo im przeszkadzało, zabierało światło”. Jakże „cud codzienny”, który sam był światłem, mógł nie dopuszczać światła?

Wisława Szymborska była przeciwniczką fotografii z ukrycia, z zaskoczenia, strzegła prawa do własnego wizerunku, choć w naszej dobie takie to trudne. Wpojone zasady, że nie należy się wynętrzać, ani skarżyć, sprawiały, że była osobą nieprzeniknioną, w jakimś wymiarze tajemniczą. Owszem, zażyłość, ale do pewnych granic, konfidencja, ale z zachowaniem dystansu. I jeszcze to dobre wychowanie, które relacje komplikuje... Można by – paradoksalnie – mówić o chłodnej serdeczności, krytycznie nastawionym współczuciu czy przyjaznym ludziom indywidualizmie.

Dwoistości, rozszczepienia perspektywy, konfrontacje wielu wyobrażeń, konflikty postaw oraz paradoksy są bardzo istotne w poezji Wisławy Szymborskiej. Piękne chwile istnienia, których moce zagłady nie są w stanie unicestwić, graniczą z refleksją o upływie czasu, przemijaniu i śmierci, pełna filozoficznego zdumienia pochwała nieprzeliczonych form natury spotyka się z przeżywaniem okrucieństw historii, własna pozbawiona złudzeń prawda musi przebić się przez społeczne wmó-

wienia i przyjęte mity, przegrany człowiek pojedynczy nie ma szans w zderzeniu z władzą i masą, a bezpieczny azyl sztuki tylko pozornie broni nas przed nędzą egzystencji. Rzetelna wiedza, jak czytamy w wierszach Szymborskiej, wypływać może tylko z większych obszarów niewiedzy, pewność zbudowana zostaje na wątpieniu, zaś każdy ład podszyty jest chaosem.

W ostatnich tomach Wisławy Szymborskiej (*Chwila, Dwukropek, Tutaj*) pojawiają się kolejne próby trudnego pogodzenia się z tym, co nieuniknione, co napawa lękiem. Spokojne tłumaczenie, dlaczego znaleźliśmy się w prowincjonalnej odnodze kosmosu, w panicznej ucieczce nie wiadomo dokąd – po mylnych drogach labiryntu, pod terrorem umierania, w jednostkowej postaci, która gubi się wśród innych bytów, wśród enigmatycznej gry przypadków, nie przynosi wyrazistej odpowiedzi, ale może obdarza czytelnika spokojem płynącym z przyjęcia choć na moment właściwej perspektywy i proporcji. Wszakże nikt nie ustalał z nami reguł istnienia. Może nie warto się rozczulać, skoro w najlepszym razie jesteśmy obdarzonymi świadomością przechodniami tymczasowego istnienia.

Szymborska, może mocniej, niż dotychczas, wprowadza postać *cicerone*, który mówi o sprawach elementarnych, wyjaśniając *ab ovo* nasz byt i pobyt, czas i trwanie. Tak dzieje się w wierszach *Chwila, Dusza, Mikrokosmos, Otwornice, Przed podróżą*, jakby sprzeczności same miały się ułożyć lub stać się przynajmniej znośne. Poetka eksponuje fragmenty autobiografii, ale w pojedynczych migawkach, jakby oderwanych od całościowej narracji i zawsze w ten sposób, by służyły ogólniejszemu namysłowi. Nie chce chronić się w przeszłości, ani jej mitologizować, nie pragnie też jednoznacznego wytłumaczenia dawnych zdarzeń, nie godzi się na zastygnięcie w jakiejś wersji swojej osoby (*Trudne życie z pamięcią*). Wyniki rekonstrukcji wizerunku drugiej osoby przy pomocy tego zawodnego narzędzia są jeszcze gorsze, gdyż nawet proste pytania o realia nie uzyskują rozstrzygnięcia (*Portret z pamięci*). Jedynie „pamięć dobrych chwil” (*W zatrzęsieniu*) ma jakąś wartość: pospołu ze zdumieniem oraz „zdolnością do porównań” stanowi uciulany kapitał życia. I przyznać trzeba, że jeśli trochę pocieszający, to na pewno nie trwały.

Wiersze z ostatnich tomów w zwykłych słowach niezwyczajnie podejmują kwestię ostatecznych ludzkich przeznaczeń. Można by rzecz tak ująć, iż jak w Kafkowskim odwleczeniu procesu, choć bez tej ponurej determinacji, odejmuje się władzę nieodwołalnemu, ogranicza terytorium śmierci, ze wszystkich sił ducha i wyobraźni zawieszając rozstrzygnięcie, które nadejdzie, ale jeszcze nie teraz. Nasze istnienie ze skazą, „prawie że wieczne”, jakże jest trwałe w porównaniu z efemerydami i formami w nieustannej metamorfozie (*Chmury*). Za inne oswojenie uznać należy sytuację rozmowy bądź *interview*, w których osobiste zaangażowanie pytającego się

zmniejsza. Zresztą i słowo „śmierć” bywa przemilczane, omijane z daleka, jak jakaś niekreślona możliwość, choć przecież Parka trzyma w ręku nożyce – narzędzie losu. Pilna pracowniczka skupia się na historycznych sposobnościach i technicznej stronie swojego zajęcia (*Wywiad z Atropos*). Inne milczenie zyskuje głęboki sens w wierszu *Stary profesor*, mianowicie liryk o odchodzeniu przekształca się w wypowiedź o samotnej mądrości, która przybywa późno, kiedy udało się człowiekowi wywikłać z życiowych obowiązków.

Dostrzeganie paradoksów czasu nie wyjaśni sensu przydzielonej odrobiny istnienia, nieraz tylko błysku rozpoczynającego się i kończącego życia. Groza śmierci nie zostanie uchylona, lecz raczej – spotęgowana przez fakt, że zdarzenia, jakie były udziałem umarłych dzieci, rozgrywały się w małej skali. Skłonni bylibyśmy pochopnie orzec, że takie dramaty nie nabrały jeszcze powagi (*Bagaż powrotny*). Najbardziej niewyobrażalna jest nasza nieobecność czy też wstrzymany udział w sprawach świata, przeto wyobraźnia podejmuje wyzwanie skrajne, starając się przybliżyć rzeczywistość, która stała się nagle odległa i obca i do tego jeszcze: możliwe są tam nadal przepływy zmiennej pogody, czyli fakty apolityczne, ahistoryczne, na pewno pozbawione egzystencjalnego dramatu (*Nazajutrz bez nas*).

W wierszach Wisławy Szymborskiej czas niedokonany i niedefinitywne rozstrzygnięcia walczą z odchodzeniem i śmiercią. Świadomość ma wyprzedzać śmierć, wyrwać spod jej władzy cząstki bytu, jednostkowe radości i smutki, przeżywane podmiotowo zdarzenia. Dopóki żyjemy, zaciekawienie poznawcze nie powinno słabnąć. Świadomość wciąż od nowa zadaje pytania, na które trudno oczekiwać od razu odpowiedzi (*Spis, Trochę o duszy*). Jednak ostateczność nie zostaje wyparta, gdyż jedno z najważniejszych pytań jej właśnie dotyczy. W tej prawdziwie egzystencjalnej poezji śmierć to również kurczenie się wielu możliwości, zacieśnianie przypadków do jednego finalnego zdarzenia. Słynne jest zdanie z wiersza Szymborskiej *O śmierci bez przesady*: „Nie ma takiego życia, / które by choć przez chwilę / nie było nieśmiertelne”. Wobec tych chwil intensywnego istnienia śmierć staje się bezsilna. Akcent zostaje postawiony właśnie na słowie „być”. Natomiast w wierszu *Metafizyka* zamykającym tom *Tutaj* pojedyncze, lecz mocne istnienie, złożone z prywatnych mikrohistorii, okazuje się tak doniosłe, że można je przymierzać do skali kosmicznej.

W poezji Wisławy Szymborskiej nie należy przeoczyć wirtuozerii słowa, bogactwa literackiej stylistyki, mistrzowskiego opanowania polszczyzny potocznej, wysokiej miary poetyckiego humoru. Jednakże w tych wierszach gry znaczeniowe zawsze zostają podporządkowane zadaniom etycznym, egzystencjalnemu niepokojowi, nazywaniu zła, przeciwstawianiu się pustce ułatwionego życia, wskazywaniu intelektualnych szalbierstw. Nie chcę jednak pisać o literaturze... Wypadnie dodać

zdanie oczywiste: szkicowanie sylwetki Wisławy Szymborskiej, tworzenie obrazu z pamięci, napotyka na trudności. Wybitna osobowość w całym swym skomplikowaniu bardzo trudno daje się uchwycić w porządku słów. Fotografii e i fi lmy to złudna pomoc dla pamięci, gdyż rejestrują one tylko chwile wyjęte z następstwa czasu, ale też ukrywają coś ważnego poza kadrem. Może istotniejsza pozostanie niewyraźna magia gestu, głosu, obecności, której zostaliśmy pozbawieni. Także poezja, jedyna taka w kulturze polskiej, pomimo narastających odczytań, zachowa tajemnicę łączenia słów i powstawania znaczeń.

Rozpoczynając wspomnianie, musimy wystrzegać się zwodniczej ciekawości, unikać mitologicznych narracji, odrzucić pokusę zajmującej anegdoty, nie przemieniać żałoby w karnawał. Przyjąć od Poetki lekcję trudnej zgody na to, co się spełnia. Pamiętać, powracać do lektury. Czy tak?